JAN LEMAŃSKI



PRAWO MĘŻCZYZNY

„KSIĄŻKI CIEKAWE"
WARSZAWA SIENKIEWICZA 12.



„KSIĄŻKI CIEKAWE”
WARSZAWA
SIENKIEWICZA 12.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Wspólna 54. Tel. 266-07

JAN LEMAŃSKI.

PRAWO MĘŻCZYZNY

„KSIĄŻKI CIEKAWE“
Warszawa.

Pewna t. zw. rezolutna panna, którą trochę rozmarzyło wino, w towarzystwie, w salonie, wobec wszystkich, rzuciła się na mnie, jak zwierz drapieżny, i, nim zdążyłem temu przeszkodzić, pocałowała mnie.

A byłem jej przedstawiony wówczas po raz pierwszy i panna ta, jak się później dowiedziałem, miała już narzeczonego.

Jak w takim razie postąpić?

Gdyby to było sam na sam, to możebym jej ów pocałunek sumiennie oddał, i nawet, bez względu na krótkość czasu, z sutym procentem. Ale tak publicznie być pocałowanym, tak ulec zgwałceniu w swojem prawie wolnego i nieprzymuszonego wyboru! Nie! Uznałem to za obrazę tak ciężką, że podniosłem rękę i uderzyłem tę pannę, przez wino rozochoconą... tak, uderzyłem ją w twarz.

Zgrzeszyłem. Dziś ze skruchą spowiadam się z tego.

Niech ten, kto nigdy nie gniewał się na kobietę i nie wyraził swego gniewu czynem, ani my-

ślą, i kto jest pewny, że do końca życia zachowa anielską łagodność względem spraw kobiecych, niech ten rzuci na mnie kamieniem potępienia.

Nie chcę się usprawiedliwiać. Zrobiłem źle, popełniłem zbrodnię. Ale czy tylko ja byłem jej winien. A ona, ta panna?

Gybym tak ja, mężczyzna, po dobrej kolacji, cokolwiek winem podchmielony i mający narzeczoną, a zatem nie mogący się natychmiast zaręczyć, w towarzystwie, w salonie, wobec wszystkich rzucił się na pannę, którą mi właśnie... nie, której ja właśnie byłem przedstawiony, i gdybym ją pocałował, i gdyby ona mnie uderzyła, to z pewnością okrzykniętoby ją za bohaterkę, a przynajmniej za „dzielną dziewczynę".

A dlaczegoż ja biedny stałem się zbrodniarzem, winnym tej zbrodni i związanych z nią dalszych?

Narzeczony tej „dzielnej dziewczyny", tej dziarskiej, tego hajduczka miłego, narzeczony, jakiś rycerzyk, wyzwał mię na pojedynek, Musiałem go zastrzelić.

Nowa zbrodnia!

O, gdybym wówczas był nie uderzał! gdy bym nie walczył ze złem! Ale walczyłem.

Przeto narzeczony musiał zginąć. Dlaczego nie on stał się wyłącznym odbiorcą pocałunków swej narzeczonej? Zginął.

Wyzwał mię potem brat.

To samo stało się i z bratem tej ochoczej osóbki. Mama zaś przysłała mi list anonimowy z najordynarniejszemi wymysłami, który to list, jak robaka, spaliłem w piecu.

Tyle zbrodni!

Co u Pana Boga? Czy mężczyznie u nas niewolno mieć prawa, przysługującego najzwyklejszemu śmiertelnikowi w państwach innych, np. w oświeconej Anglji, w formie habeas corpus? Czy, jeżeli się osobie rodzaju żeńskiego zechce osobnika rodzaju męskiego, to już jest prawem boskiem, aby tenże osobnik natychmiast był temu wezwaniu posłuszny? Czy i mężczyzna nie może też wybierać, jak kobieta?

Wszystkie panie, osobliwie starsze, najniezawodniej odpowiedzą, że ce que la femme veut, Dieu le veut.

Tak, ale na ten aforyzm powołują się najczęściej te osoby żeńskie, które, ażeby znieść, trzeba mieć cierpliwość... boską.

Bo tylko Bóg, który wszystkich stworzył, wszystkich musi znosić.

Ale człowiek jest stworzeniem wolnem.

*

Poznałem raz parę małżonków.

Złączył ich w stadło konwenans, rozdzieliła

ich niechęć wzajemna, trzymały w związku dzieci — też konwenans.

I mnie do nich zbliżył konwenans, przynajmniej do męża. Bo żonę zbliżyła do mnie tak zwana miłość.

Miłość ta początkowo składała się z utyskiwań na męża tyrana, nie umiejącego należycie ocenić skarbu, jaki posiada.

Następnie rozżaleniu i skargom na męża dawszy pokój, zaczęliśmy się zajmować głównie swemi osobami. Ale kiedy już zajęcie to doszło do zajęcia się płomieniem, naraz ten mąż, o którym już zdążyliśmy zapomnieć, uczuł, że dzieje mu się jakaś krzywda.

Jaka?

Czy to, iż z płaczącej, zmizerowanej, załzawionej kobiety ja zrobiłem ją pełną wesela i radości, żem ją zrobił tak powabną, jaką nigdy z nim, z tyranem, nie była?

Jeżeli chcesz ją kochać, to kochaj; nikt ci tego prawa nie odmawia, ale pozwól jej kochać tego, kogo chce ona, pozwól jej być Bogiem. Ce que la femme veut... Czyżbyś już nie uznawał tyranie mężu, tego prawa, któreś tak głosił przd ślubem, kiedy ona wybierała — ciebie?

Nie, nie uznajesz?

Dobrze. Dwóch panów w tużurkach, pistolety, samochód. Zbrodnia.

Znowu zbrodnia!

A przecież, szanowna pani, c e q u e l a f e m m e... i t. d.

A przecież Bóg mi świadkiem, że nie jam chciał, tylko byłem chciany.

I ulegając tak wysokiemu prawu kobiecego chcenia, doszedłem do... zbrodni? Więc zbrodnią jest prawo kochanka?

Prawnik pewien, zapytywany przezemnie w tej kwestji, rzekł:

— Nie należy obsiewać cudzego pola, bo właściciel ma prawo plon nasz sprzątnąć. Jest to prawo męża.

•

Pewna dama zakochana była w sobie, ale niewiadomo dlaczego mówiła, że kocha mnie.

A raczej owszem, było to wiadomem. Mówiła, że kocha mnie w tym celu. abym ją najusilniej przekonywał o jej własnej piękności, dobroci, szlachetności i mówił jej o wszystkich jej powabach, istniejących niewątpliwie, jako też i o tych, których obecność można było zakwestjonować.

Przyciągany jej zaletami istniejącemi niewąt-

pliwie, dawałem się zlekka nakłaniać i ku tym jej chęciom, które zmierzały do ugruntowania we mnie przekonania co do jej zalet wątpliwych.

Pewnego razu dama ta zwróciła się do mnie z tem samem żądaniem, które pani Putyfarowa wystosowała była ongi do skromnego Józefa biblijnego, inicjatora praw uciemiężonego mężczyzny.

Już czułem falujące jej łono, już... kiedy, czy to że niewątpliwość jej zalet stała się dla mnie wątpliwą, czy że zbyt wyraźnie uwydatniła się nieobecność jej powabów domniemalnych, słowem, że zostawiłem na pastwę jej rozfalowanego (może za bardzo) łona swoją... marynarkę i z uratowaną cnotą biblijnie odszedłem.

Putyfarowa, w braku męża Faraona, który mógłby mię wtrącić do lochu, oskarżyła mię przed swoimi znajomymi i znajomemi o to, żem jej odmówił przysługi, jakiej ma niby prawo żądać każda kobieta od każdego mężczyzny.

Personel męski tych znajomych, urażony, że ich pominięto, owszem był nawet po mojej stronie ale damy... Kto wie, czym się bardzo im nie naraził.

Proszę was, o damy, jeżeli chcecie, aby prawo kobiety do każdego mężczyzny było prawem głównem, niechże będzie regułą, aby każda kobieta oddawała się każdemu mężczyźnie, który ją chcieć raczy.

Miałem przyjaciela, który mi często zwykł był mawiać:

— Bierz kobietę, która się oddaje tobie, bo inaczej odda się pierwszemu lepszemu dorożkarzowi albo innemu jakiemu automobiliście. Kobieta, która pożąda...

Czyli ta, która prowadzi życie po-żądne — przerwałem.

— E, ty zawsze z kalamburami. A ja ci powiadam zupełnie poprostu: kobieta, która pożąda ciebie, a której ty nie zaspokoisz, oddać się gotowa djabłu samemu, choćby tylko przez zemstę. Nie chcieć kobiety, to znaczy ją unicestwić! Unicestwiona zapragnie życia za jakąbądź cenę. Brać kobietę, kiedy się oddaje, to najwyższa cnota. C a r p e d i e m! To prawo mężczyzny.

Zapamiętałem sobie ten przyjacielski aforyzm.

Trzeba zdarzenia takiego, iż przyjaciel miał kochankę, a właściwie nie to jest ważnem zdarzeniem dla mnie, że on kochankę miał, ale to, że kochanka owa powiada mi razu pewnego: przyjdź do mnie i...

Zaświecił płomień mi w oczach.

— C a r p e d i e m! — pomyślałem i rzekłem jej: przyjdę.

Przyszedłem. I doznałem niewysłowionej uciechy.

I zdawało mi się, że niezmiernie też ucieszę przyjaciela, bom pastąpił zgodnie z jego radą. Biegnę więc do niego i mówię mu:

— Tak i tak, uważasz. Schwytałem dzień.

— Co za dzień? Nie rozumiem.

— No diem felicem — szczęsny dzień złowiłem (razem z nocą). Tak mi radziłeś.

— Tak? A z kim?

— Czy ci wszystko jedno, z kim?

— Naturalnie, że wszystko jedno.

— Więc chociażby nawet z...

— Proszę cię, dokończ.

— Nawet... No, ciesz się, płoń radością, żem twój światopogląd przyjął.

Ale przyjaciel, zamiast się zapłonić, zbladł.

— Z nią! z nią? O Boże!

— Co ci jest? albo nie wprowadziłem w czyn twojej zasady? Żyłem w błędzie. Tyś mi oczy otworzył. O jakże ci za to jestem wdzięczny. Mogę umrzeć już, bom poznał szczęście. A szczęściem jest to, co się nam oddaje, szczęściem jest oddająca się nam dusza niewieścia. Brać ją to prawo mężczyzny.

— Nędzniku!

— Jak śmiesz, bracie mój, potępiać mię za to, żem urzeczywistnił twoją wiarę, żem stał się tobą? Nazywasz mnie nędznikiem? Któż więc jesteś ty?

— Tak — załkał przyjaciel: — To jam jest nędznik, żem swoje szczęście utracił. Ale i to jest prawo mężczyzny.

I mój przyjaciel wielką powiedział prawdę.

Mieć szczęście jest prawem kobiety. Ale szczęście mając, utracić je — to prawo mężczyzny. Bo skądżeby się to szczęście brało, gdyby ktoś wogóle nie cierpiał. Ponosić ten trud życiowego cierpienia jest najwyższem prawem mężczyzny.

Mieć szczęście i pozwolić, aby ono, jak ptak złotopióry, odfrunęło od nas, dokąd chce, i patrzeć dobremi oczyma za nim, i nie przeklinać go, i przyznać mu wolność, chociażby się umierało z bólu— to prawo mężczyzny najwyższe

---

[illegible] przeważnie [illegible] tu jest [illegible] szczęście [illegible]
[illegible] szczęśliwy.

I [illegible] walkę powszechnej prawdy.

Nikt [illegible] jest prawem [illegible] w imieniu [illegible] się to [illegible]

[illegible] niewzruszonym prawem [illegible]

[illegible] ażeby [illegible] w imieniu [illegible] szczęśliwy [illegible]

DRAMAT

Pewnego razu żona moja, chcąc mi zrobić przyjemność, a raczej, ściśle mówiąc — przyjemność mojemu żołądkowi, kupiła na targu kurę.

Kiedy służąca rozwiązała jej nogi i puściła ją wolno, aby jej dać zakosztować swobody raz jeszcze przed śmiercią, pokazało się, że jest to w kurzym rodzaju okaz, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Calutka niepokalanie biała, ze złotemi gdzieniegdzie rzuconemi plamami, o ile plama złota może plamić. Powiedzmy więc: białość nakrapiana złotem. Coś cudownego.

Kura, po odzyskaniu wolności, o której nie mogła przypuszczać, że jest chwilową, zaczęła sobie chodzić i rozglądać się po mieszkaniu jak gdyby była u siebie. Wydawała przytem jakieś skrzekorzenie i kwokanie, jak gdyby sobie czyniąc o wszystkiem głośne uwagi. W liczbie przedmiotów, na których spoczęło jej uważne, złote, bo miała i oczy złote — oko, byłem i ja. I odrazuśmy się sobie podobali.

C'etait predestine. C'etait com-

me une foudre, jak się mówi w romansach francuskich. Wziąłem ją na ręce, gładziłem ją po jej piórkach białych, złotem nakrapianych, spoglądałem z miłością w jej oczy złote i wówczas powziąłem szalenie odważną myśl: ocalić tę kurę od śmierci.

— Żono moja — powiadam — ty tej kury nie każesz zabijać.

— A to co za fantazje? Bądź łaskaw mi powiedzieć, dlaczego ta kura nie ma być zabita?

— Bo ja o to proszę.

— A obiad? Cóż będzie z obiadem?

— Prawda. Co będzie z obiadem? Może ziemia przestanie się obracać, może słońce się poruszy, może dozną dreszczu cały kosmos, jeżeli my skromni lokatorzy warszawscy, nie najwspanialszego domu, płacący umiarkowane komorne, nie zjemy pewnego dnia na obiad kury! Zosiu moja najdroższa, błagam cię na pamięć matki, zlituj się nad tą kurą.

— No, ale dlaczego ci tak na tem zależy? Cóż za sentymentalizm dziwny, to nawet wstyd na mężczyznę. I Marysi wstyd.

— Wstydzę się, tak, i przed tobą, i przed Marysią, ale niech ta prośba moja będzie uwzględniona.

I postawiłem na swojem. Sam się dziwię, skąd się wzięło we mnie tyle energji. Ale widać c'etait predestine, jak w romansach.

Marysia otrzymała polecenie coś „zakręcić", czyli „wytrzasnąć" jakiś odpowiedni ekwiwalent na pociechę żołądkowi, a ja ze swoją ofiarą, ocaloną ze szponów ludzkiej żarłoczności, poszedłem do swego gabinetu z triumfem.

Kura, jak gdyby czuła, że tu chodziło o jej szyję, trzymała się mnie, jak opiłek magnesu i skierowanemi we mnie swemi złotemi oczkami, zdawało się, myśli moje chce czytać.

A myśli te były szczęśliwe, radosne. Ocalić kogoś od śmierci, to przecież nielada rzecz!

Nie codzień się każdemu to trafia. Życie!... Darować komuś ten najdrogocenniejszy z darów! Stworzyć komuś to szczęście, zapewnić komuś używanie światła i innych darów ziemskich!... Bóg chyba nie doznał większej przyjemności po stworzeniu świata, niż ja, gdym uratował tę kurę od niewzruszonej, niezłomnej konieczności jedzenia obiadu, w którym na pieczyste ma być właśnie ta kura. Wprawdzie sumienie, chcąc zmniejszyć moją pychę, szeptało mi, że nie wielki to czyn, ocalić od śmierci kurę, która nam się ogromnie podobała. Czy—zapytywał mię głos sumienia—mógłbyś narażać się wobec majestatu żony, połączonego z władz-

twem Marysi, dla kur jakichkolwiek? Czy ocalilbyś od brytwanny kurę zwyczajną, przeciętną, pospolitą, nijaką? Czułem, że w głębi duszy mojej odpowiadało coś: nie! Czułem, że nie doszedłem jeszcze do tych wyżyn abnegacji, na których un poulet au provencal, albo przedziwna polska „kura w rosole“ już nie jest niezwalczoną pokusą. Helas! jeszcze nie jesteśmy wyzwoleni od tych ponęt życiowych, od czaru tej potęgi, która na nas wywiera wpływ magją swoich złotych oczów w rosole. Tak, nie utracił jeszcze w naszych oczach uroku swego ten obraz ludzkiekiego szczęścia, wymarzonego przez króla Henryka IV-go z rodziny Burbonów,—szczęścia, polegającego na tem, aby każdy z nas był wstanie „mettre, chaque dimanche la poule au pot!“.

Ale mówmy o kurze. Ach, prawda, zdaje się, że właśnie mówiąc o królu Henryku IV-tym, mówimy o kurze.

Otóż kura moja tak się do mnie przywiązała, że passez moi le mot—zaczęła ze mną sypiać. Gdym już się w łóżku ułożył na dobre, kura wskakiwała mi na piersi i przytulała się do mnie z lewego boku—tuż do serca. Za najmniejszem mojem poruszeniem, otwierała oczy, nastawiała dziób i nastraszała pióra, jakby chcąc mnie bronić przed jakiemś niebezpieczeństwem. Nawet, o zgrozo, przeciw mojej własnej żonie wpadała w nastrój

wojowniczy. Nie dawała jej się brać do rąk i dziobała ją nieustraszenie. Ten sam stosunek jej był do Marysi, niedoszłego jej kata. Niedoszłego raz, ale... Nie uprzedzajmy zresztą wypadków.

Nie upłynął może tydzień moich miodowych miesięcy z kurą, gdy na naszem niebie (t.j. mojem i jej, kury, niebie) zaczęły pojawiać się czarne, złowrogie chmury.

Razu pewnego zastałem moją Marysię nad tem, jak, sprzątając po kurze, prowadziła taki półgłosem monolog: „Ta kura, — to pies, jak świnia. paskudzi, a ty, służąca, sprzątaj i sprzątaj. Skaranie boskie! Że też pan to chyba ma niespełna rozumu z tem kurzyskiem. Ale już niedługo tego, już ja tam z panią o tem pomówię".

I pomówiła, niech jej Bóg przebaczy!

Żonie mojej ani się śniło dotychczas o jakiejkolwiek względem mnie zazdrości. Kochała mnie, i to uczucie nie zostawiało miejsca już na żadne inne. Kto kocha, nie zazdrości; kto zazdrości, nie kocha; to jasne. Moja żona kochała mię.

Ale która żona zgodziłaby się, na wzór tej kury, złotem nakrapianej, spać na męża sercu przez całą noc i tak czujnie, żeby najmniejsze jego poruszenie odczuwać? Dla większości żon, a może i dla wszystkich, taka czujność serdeczna wydawałaby się niewola, ciemięstwem, zamachem na prawo

człowieczeństwa, do którego i żona ma prawo! Nawet kochanek nie może tego wymagać, aby żona była jego szyldwachem, a cóż dopiero mąż!

Jednem słowem, widok tego przywiązania kury do mego serca zaczął wywoływać w mojej żonie pewną gorycz i pewną niechęć, tak do kury, jak i do mnie. Od tego się zwykle zaczyna. Jeżeli widzimy, że ktoś dla osoby nam drogiej jest zbyt uprzejmy, uprzejmiejszy od nas, to i ten ktoś i ta osoba jakoś zaczynają nas kłuć w oczy. Jakto — mówimy sobie—więc mojemu kochanemu, czy mojej kochanej, nie dosyć jest mojego przywiązania i mojej czułości? Jakto? on ma miejsce jeszcze na czułość inną? A ja już swojej czułości zwiększyć nie mogę, bom mu oddała (lub jej oddałem) wszystko już. Albo tak, albo tak!

I zaczyna się... kończenie. Zaczęło się.

Żona moja nie przepuściła najmniejszej okazji, aby mi dogryźć tą kurą. A to dywan splamiony, a to, a owo, a to w kuchni nieporządek, gdzie przecież trzeba czystości dla artykułów jadalnych. A już o tem nie mówiąc, że to wogóle dziwactwo i niepotrzebne manjactwo tak traktować kurę, jak jakieś stworzenie, którego się nie je, np. kota, psa...

— Ależ, moja Zosieńko najdroższa, przecież i w kurze można się doszukać duszy, jak sama zresztą widzisz.

— Ja wiem, że ty się doszukasz duszy nawet w duszy do żelazka od prasowania. Ale dlaczego ja mam na tem cierpieć?

Tu, oczywiście, płacz. Scena pocieszenia, osuszanie pocałunkami łez. Przeprosiny, uśmiech przez łzy. Pocałunki. Wznowienie przysiąg ślubnych... A potem znów ta kura. O, Boże!

Nakoniec żona pewnego dnia z jakąś rozpaczliwą determinacją rzecze mi:

— Albo ja, albo ona.

Na takie d i c t u m a c e r b u m zamknąłem się w swym gabinecie (z kurą) i zacząłem rozmyślać: żona, czy kura?

Weźmy, że daję pierszeństwo żonie. Co zatem? Ustąpić żonie, będzie słabością, ustępstwem dla świętego spokoju, mazgajstwem. Dziś kury, a jutro zażąda odemnie przyjaciela, kiążek, idej swoich się wyrzec, myśli swoich. Bo to przecież wszystko ją ode mnie oddala, a ona wszakże ma i na to swoje człowiecze prawo, którego wyrzekać się nie chce. Jak więc postąpić? W drugim wypadku, jeżeli się zdecyduję na korzyć kury, to stanie się rzecz niesłychana już nietylko w mojej kamienicy, w moim uczątku, w mojem mieście, w mojej ojczyznie, ale nawet rzecz niepraktykowana w całym świecie: dla kury wyzbyć się żony! Kura i żona! Czyż można nawet porównywać.

A jednak ten zbrodniarz to zrobił: dla niemego stworzenia wyrzekł się żony—mówionoby o mnie. Palcamiby mnie wytykano, w pismach, broniących sakramentu małżeństwa, pisanoby o mnie uwłaczające paszkwile. Kobiety ogłosiłyby na mnie interdykt, odmawiając, jak banicie, przytułku i ognia swego niewieściego.

Gdym tak rozmyślał po całych godzinach, gdy pot kroplisty występował mi na czoło i nie wiedziałem, co począć, wmieszało się w te rzeczy samo fatum—to greckie, nieubłagane, z niezłomności znane fatum,—fatum, które kazało mojej żonie, aby ta kazała Marysi, aby...

Nie wiem, czy mam więcej mówić?—czy mam wymieniać to straszne słowo, którego się domyślacie, a które ma u nas w języku polskim (i w słowiańskich narzeczach wogóle) taki dziwny, ponury walor? Zabić, bić, czyż nie jest u nas tak fatalicznie skojarzone z byciem, z bytem? Czyż nie może u nas nikt (i nic) b y ć, kto (i co) nie umie b i ć? Dlaczego żona moja, ażeby móc b y ć, musiała moją kurę, moją kochaną kurę, za-b i ć. Ona, albo kura? Przez Bóg żywy, dla czegóż doprowadzać do tego dylematu? Czyż nie lepiej, aby nasze niewiasty, w postaci żon naszych i naszych Maryś, zamiast chcieć naszą męską zdolność widzenia duszy nawet w kurze, nawet w żelazku od prasowa-

nia, zabijać, iżby zamiast tego powiększyły nieco swoją miłość i kochały nas nietylko ciałem, ale i właśnie tą duszą?

Wprawdzie ten ideał życia, w którem miłość kobieca weszłaby w fazę pewnego uduchowienia, nie byłby ideałem marzonym przez Henryka IV; bo cóżbyśmy wówczas zrobili z jego pragnieniem, aby każdy obywatel mógł takim być, by „mettre chaque dimanche une poule au pot“ (by kurę do garnka mógł bić).

Tak, nawet ten dobry francuski król, Henryk IV, nawet ten poczciwy Burbon, gdyby wstał z grobu i gdybyśmy go zapytali: czemu marzył o zabijaniu tylu kur, odpowiedziałby nam:

— Mais, voyez, vous, lhomme: tu es la, pour tuer.

A cóż się stało z kurą? — spytacie.

Zjedliśmy ją.

Żona jadła ją ze śmiechem, Marysia ogryzała potem jej kości z kanibaliczną uciechą.

A ja płakałem. Jadłem i płakałem. A płacząc, przypominałem sobie Henryka IV-go. Lhomme tu es la, pour tuer! Kto się waha bić, ten nie może być!

PIERWSZE MORDERSTWO

Młody Foks wyszedł z nami na spacer w pole.

Był to śliczny, zgrabny, biały piesek, którego sumienie psie nie dźwigało na sobie aż dotąd żadnych większych zbrodni, oprócz zaduszenia kilku kurcząt, i w dodatku zaduszenia ich bynajmniej nie przez krwiożerczość, tylko przez czystą chęć życio-poznawczą.

To, co do nas najmniej podobne, to wzbudza naszą największą ciekawość. Dlatego naprzykład dzieciom świat wydaje się taki ponętny, że do nich tak mało podobny. Foks w kurczęciu widzi to, czemu się nie może nadziwić. Jakiś maleńki biały lub żółty kłębuszek z piór na dwóch patyczkowatych łapkach, który chodzi, biega i wogóle jest czemś żyjącem! Trzeba to bliżej rozpatrzeć, zżyć się z tem dziwnem stworzeniem, zbliżyć się do niego, zespolić się z niem.

— Pójdź tu, kurczątko moje, nie bój się... A, uciekasz? Poczekajże!

I kurczątko rzeczywiście poczekiwało, ale w młodych, żeru, czyli poznania chciwych ząbkach Foksa.

Że ta pożerczość była jedynie poznawczą, dowodził sposób zachowania się Foksa po tym morderczym uczynku. Mianowicie z uduszonem kurczęciem w mordce wbiegał do pokoju, spoglądał pani albo panu w oczy i chełpliwie merdał ogonkiem. Tak, jakby czuł się dumnym z poznania czegóś nowego, zupełnie jak dziecko po powrocie ze szkoły chwali się nowozdobytą wiedzą, przypuśćmy o tem, że ziemia jest okrągła. Bo gdyby Foks tylko dla żeru kurczę dusił, to bez żadnych przechwałek zeżarłby je co prędzej gdzie w kącie, jak to robi już pies doświadczony.

Na tę namiętność poznawczą pieska jego państwo nie zapatrywało się wcale życzliwie. Po wydobyciu mu ofiary z pyska, Foks był karcony dwojako: słownie i czynnie. Wysłuchiwał całego szeregu wymówek, poczem brał w skórę.

Brał, ale nie wiedział, za co go biją. Zwalał to na karb ograniczoności państwa, czuł się w swojem sumieniu psiem czysty. Wogóle, będąc psem, nie buntował się przeciwko dziwactwom natury ludzkiej, znosił karę i robił swoje.

Pewnego razu, dziś właśnie, zdarzyło mu się towarzyszyć nam, panom ludziom, na spacer. Podskakiwał to ku jednemu, to ku drugiemu z nas, brudząc nam łapami palta, liżąc nam ręce, skowycząc i objawiając wielką, prawdziwie psią uciechę ży-

cia. Od nas biegł do spotykanych po drodze kundli chłopskich, zaczepiał je, gonił, gdy, nieusposobione do zabaw, śpieszyły za jakiemiś sprawami urządzał wtedy pościg za ptactwem, wracał zziajany do nas, biegł znowu i znów cwałował z powrotem, jak gdyby chcąc się przed nami popisać z nadmiaru swojej młodo-psiej werwy życiowej.

Naraz z pod jednego krza przydrożnego wyskoczył zając, nieduży i również, jak Foks, młody.

Foks, widząc jakiegoś nieznanego sobie dotąd czworonoga, ucieszył się najniezawodniej, że oto nareszcie jest ktoś, z kim można się będzie pobawić, i pomknął żywo ku zającowi.

Ale o ile młody pies za nowemi znajomościami goni, o tyle młody zając, a bodaj że i stary, od wszelkich nowych związków, poza sferą zajęczą, ucieka. Psa normalny stan jest za czemś gonić: zająca — od czegoś uciekać.

Tak też i tu. Zaledwio pies ku niemu dał susa, gdy zając sromotnie podał tył i począł zygzakowato umykać.

Stanęliśmy, przypatrując się tej gonitwie. Jedna w nas strona, strona zwierzęca, życzyła sobie aby wygrał pies; z drugiej strony, wrodzona nam ludzkość pragnęła, aby zając uciekł. Co do psa, to wiadomo: w psach niema tego wewnętrznego rozdwojenia, tego wyboru pomiędzy złem i dobrem.

Foks czuł, że nadeszła chwila w jego życiu przełomowa. Raz trzeba pokazać, że się jest psem, inaczej gotowi go ogłosić za niedołęgę, za filozofa, który psem być nie wart. On musi dogonić zająca i koniec.

Widzieliśmy, jak przez jakiś czas migał po po polu biały Foksa tułów, a przed nim wił się szarak.

Aż nagle gonitwa ustała. Foks zabielał nieruchomo w dalekiem polu, i najwidoczniej coś tam się ważnego musiało stać. Odbył się widać finał dramatu, a jakiego, łatwo nam to było sobie wyobrazić.

Aczkolwiek nasza miła gospodyni i dziedziczka Foksa utrzymuje, że jedyną rzeczywistością jest to, co się widzi lub co można zmacać, i że niemacalne rzeczy, więc tylko zmyślone i stworzone w wyobraźni, nie istnieją, niemniej jednak pozwalamy sobie na zapewnienie, że choć tragicznego momentu poznania się najbliżej Foksa z zającem nie widzieliśmy, rzecz odbyła się tak rzeczywiście, jak ją sobie wyobraziliśmy.

Foks, goniąc zająca, szczekał tuż za nim i jakby wołał: A zatrzymajże się, ty głupi, toć ci nic nie zrobię złego, chcę się tylko z tobą zapoznać!

Ale zającowi nie jest dana ufność w psi ród. Zamiast się zatrzymać i grzecznie, ale z mężną po-

stawą rzec: Oto jestem, czego pan sobie życzysz? — zając przyśpieszał kroku tem bardziej, im pies natarczywiej nastawał mu na pięty. Ta nietowarzyskość zajęcza rozzłościła psa tak, że zdwoił energję, dopadł tyłu ofiary, wyrwał stamtąd kłak turzycy *), a następnie zrównał się ze ściganym, ucapił go za kark i, chcąc go zatrzymać, udusił **).

Po dokonaniu tego czynu, Foks zdziwił się sam, i nie wiedział, co dalej robić. Poznał życie zająca po psiemu, to znaczy unieruchomił je, uśmiercił. Gonił oto za czemś żywem, a znalazł coś martwego. Poznawczy jego organ — zęby dały mu poznać nie to, co przedstawiało mu się tak ciekawem i poznania wartem. Leży teraz przed nim jakaś szara, podobna do zwitka kłaków, zwierzyna, z której życie gdzieś uleciało, może weszło w psa, a może rozproszyło się po polu? Tą niewiadomością, tą tajemnicą zdrętwiony, Foks stał i bezradnie na martwego zająca patrzał.

Z pola, od ludzi kopiących kartofle, przybiegł do nas chłopak, zdaleka potrząsając w ręce martwym zającem, którego pies zdrętwiały wziąć sobie pozwolił. Podszedł teraz za chłopcem ku nam

---

*) Tego kłaka potem brakło w skórze zająca.

**) Że tak było rzeczywiście, świadczyły ślady zębów na karku i wywalone na wierzch oczy zająca.

i zajął postawę wyczekującą. Przypomniał sobie może wnyki, otrzymywane za mord kurcząt, spodziewał się może lania większego, ponieważ zamordował teraz stworzenie od kurczęcia większe. Ha, znieść trzeba i to: widać życie zasadza się na tem, aby mocniejszy bił słabszego. On zabił zająca, jego bije człowiek: tak widać być musi.

Z tą myślą Foks przyczołgał się do buta swego pana i czekał chłosty.

Ale o dziwo! Pan nietylko, że go nie uderzył, lecz jeszcze go pieszczotliwie jął klepać i głaskać.

— Dobry, dobry piesek. Tak to lubię. I pani cię pochwalił, bo dzięki tobie będzie do stołu świeży pasztet. Dobry, dobry Foksik!

Pies był zdumiony. Jakto? Za zabicie zająca nietylko, że niema kary, jak za zgładzenie kurcząt, ale jeszcze obdarzają go, mordercę, pieszczotami! Świat się kończy! A więc to takie jest życie? taki jest człowiek? Jużem, pies, myślał, że każde morderstwo żyjącego stworzenia jest uważane za zło i laniem karane. A teraz dowiaduję się czegoś nowego, czegoś niebywałego: mianowicie, że sa dla ludzi pewne morderstwa dobre, chwalebne! O jakże mi się życie zaczyna od tej chwili podobać! Pierwsze przykazanie człowieka było: nie zabijaj; teraz wiem drugie: zabijaj psie, byłem ja, człowek, miał z tego pasztet.

Aczkolwiek nasza miła gospodyni i dziedziczka utrzymuje, że zmyślona rzecz nie jest rzeczywistością. niemniej jednak pozwalamy sobie na zapewnienie, że Foks tak rzeczywiście, jak wyżej się powiedziało, do siebie mówił. A jeżeliby pani dziedziczka i właścicielka Foksa zrobiła nam ten zarzut: że przecież nie siedzimy w psie, aby wiedzieć, co on tam ma w duszy, to na to odpowiedzielibyśmy tak. Nic niema na zewnątrz, czego wprzód nie było wewnątrz, w myśli; zanim pies istniał, człowiek musiał go niezawodnie wprzód wymyślić, stworzyć go; a ponieważ człowiek psa stworzył (bo nie na odwrót), zatem człowiek musi znać i to, co się dzieje w psie. Bo zawsze to się tylko zna, co się stwarza, a nie to, co się zabija. Jedynem źródłem poznania jest miłość, która rzecz samą stwarza. A zabójstwo kieruje sprawę poznania na manowce. Człowiek może psa znać, bo go kocha i nie zjada, ale pies poznać zająca nie może, ponieważ uważa go tylko za żer.

Gdyby pies był traktowany przez człowieka jednakowo, tak za zabicie kurczęcia, jak i zająca to w końcu pies nauczyłby się może nie być psem. Ale w interesie człowieka nie leży to psie umoralnienie, gdyż w takim razie człowiek musiałby żyć bez pasztetu. A cóżby warte było życie bez tego smakołyku, powiedzcie sami? Bądź więc psie,

psem, ażeby człowiek mógł żyć po ludzku i po ludzku wogóle jadać.

O ile przedtem, gdy tylko dusił kurczęta, Foks był lekkomyślny i młodzieńczykowaty, o tyle po zabójstwie pierwszego zająca zmężniał, spoważniał, stał się prawdziwym psem. Oko mu zabłysnęło żywiej, inteligentniej i śmielej. Poznał pies swoją psią wartość i poczuł swój nieodzownie ścisły związek z pasztetożernym człowiekiem.

I jeszcze jedna zaszła w psie zmiana. Poprzednio człowiek był dla niego instancją najwyższą. Ponad człowieka nie znał nic poważniejszego, nic wyższego. Ale, kiedy rzucono mu na odprawę do pożarcia uszy zamordowanego przez siebie i przez kucharkę odartego ze skóry zająca, i kiedy chcieliśmy mu, my ludzie, dla żartu, uszy te odebrać, rzucał się na nas, jak wściekły, i byłby nas pogryzł niezawodnie, gdybyśmy naprawdę chcieli go tego trofeum pozbawić. Nawet na swoją dziedziczkę, a naszą miłą gosposię, głucho zawarczał, dając tem znać, że odtąd panem dla niego najwyższym jest żer. I biada człowiekowi, który mu go będzie chciał odebrać.

SIESTA

Przez wzgląd na ustaloną swoją dobrą renomę i swój podeszły wiek, Sokrates, cierpiący na podagrę buldog, został wpuszczony do mieszkania i spał przed kominkiem. Kiedy od głowien prysnęła iskra, pies zrywał się i spoglądał podejrzliwie na ogień. Tego rodzaju rzeczy zgoła nie powinny być dozwalane, jakkolwiek z drugiej strony zadzierać z ogniem byłoby sprawą beznadziejną. Sokrates przyglądał mu się jakiś czas ze smutkiem i uznał, że najwłaściwiej będzie w danym wypadku położyć się znów i zamknąć oczy.

Już prawie usypiał, gdy jakiś pieszczotliwy głos kobiecy na górze jął wołać:

— Koteczku, nie uciekaj że! Chodź, Milutku, dostaniesz mleczka.

I piękny kot perski zbiegł szybko po schodach, z taką miną, jakby mu się udało od kogoś wymknąć. — Gdy był już na dole, zatrzymał się, obejrzał wokoło i zgrabnym ruchem podszedł do ognia.

Sokrates zajmował swojem cielskiem cały przedkominek i już właśnie pochrapywał. Kot

grzecznie dotknął go łapką. Pies ocknął się i odrazu zrobił mu miejsce.

— Daruj mi—rzekł:—Ledwiem zmrużył powieki. Rzadko mi się to zdarza w dzień, ale mnie ten ogień rozebrał. Co słychać?

— Śmiertelne nudy—rzekł Milutek—potężnie ziewając. Pięć panien, i każda chce mieć mnie w swoich fałdach; każda chce mnie podrapać za uchem i posłuchać, jak mruczę; każda chce mnie złapać i pocałować. Umknąłem, a teraz wołają za mną, że jest mleko.

Milutek błysnął okiem pogardliwie.

— Czy jesteś aby pewien, że niema tam mleka?

— Niema nigdy, na całym święcie niema nigdy mleka o trzeciej po południu. Gdyby tak z godzinę później, to możeby warto było temu wierzyć. Choć zresztą wszystkie te ceckania takie strasznie nudne. Czy nie znajdujesz tego?

Kot tak mówił, choć czuł, że pies tego nie znajduje.

— Ja stosunkowo nie mogę się na ich nadmiar uskarżać — wyrzekł Sokrates melancholijnie. Mój pan woła na mnie, o ile chce mi coś rozkazać.

— A jeżeli tego nie zrobisz?

— To się nie zdarza. Przed dwoma laty było coś takiego, z powodu, żem pogryzł pewnego psa owczarskiego. Pan wówczas wziął mnie za nos, potrząsnął mną i odepchnął mnie precz.

— Dlaczegożeś go nie ukąsił? Przecież to równie łatwo mogłeś zrobić z nim, jak z psem owczarskim?

Sokrates zmienił przedmiot rozmowy.

— Pan był zadowolony, gdym dostał pierwszą nagrodę na wystawie psiej. A gdym potem zachorował, to prawie, że doszło do pieszczot. Czasami chciałbym znowu chorować. Ale naogół, to pan niezbyt się mną zajmuje, chyba, gdy mi daje jaki rozkaz.

— Najgorsi — to obcy — rzekł kot, przechwalając się. — Gdy mnie ujrzą, zaraz krzyczą: „Ach, jakiż piękny!“ i chcą się obchodzić ze mną, jakbyśmy się znali całe życie. Czyż to nie nuda?

— Ja tam na to się nie skarżę. A doprawdy, chciałbym. Podczas wystawy mówiono o mnie pochlebnie, ale bez dotykania mnie i w sposób ogólnikowy. Zdaje się, że szkodzi mi mój wygląd. Czy nie?

Kot zlekka się zakłopotał, co psu odpowiedzieć.

— Musimy być sądzeni — rzekł — według naszego wyglądu. Ja sam z początku miałem pewne ku tobie uprzedzenie. Masz powierzchowność, że tak powiem, zbyt zdecydowaną.

— To piętno właściwe mojej rasie — rzekł Sokrates. — Pominąwszy wypadek z owczarkiem,

któryby może coś mógł mi zarzucić, to charakter mój jest najlepszy w świecie. A nawet dzieci (z któremi tak bym się umiał bawić) uciekają ode mnie, krzycząc i zwracając się z przyjaźniami do foksterjerów, choć te gryzą je. Któregoś dnia wyglądałem z bramy, gdy właśnie prejeżdżała cyklistka. Spojrzy na mnie, a wtem zdarzyło mi się szczeknąć zupełnie nieumyślnie. Potknęła się o ławkę przydrożną i spadła. Coś podobnie niemiłego, zdarza mi się często, gdy próbuję zawrzeć przyjaźń z kobietą, albo i mężczyzną nawet. Proboszcz naprzykład. Wie doskonale, żebym go nie ruszył, a czegoś się boi zawsze. Póki jestem w pokoju, zwraca się do mnie, co pewien, równo odmierzony czas, mówiąc: „Dobry, dobry pies". Zupełnie, jak na kazaniu. A gdy podchodzę ku niemu, wtedy on wstaje i jest taki biedny, ze swoją skłopotaną miną. Ja wiem, że niech tylko się oddalę, on wzdycha z ulgą. Jest mi nad wyraz przykro, że muszę mieć te towarzyskie skłonności, gdy mój wygląd mówi przeciw mnie. Chyba się zgodzisz, że to mój wygląd tak działa?

— Ależ, to doskonale—rzekł kot.—Nie przyciągasz ludzi tak, jak ja, a nie musisz za to znosić różnych poniżających karesów.

— Rzecz cała w tem—rzekł Sokrates sentencjonalnie,—że potrzeba nam tego, czego nam brak.

Kto do siebie ludzi ciągnie, ten o nich nie dba. Kto chce być przyciągającym, nie jest nim. To nieznośna rzecz, ale cóż, nie umiem na to nic poradzić.

Tu Sokratesowi zdawało się rzeczą właściwą zacząć drzemać znów; po chwili zerwał się, widać poruszony myślą o możliwem sprawieniu lania jakiemu nowemu psu owczarskiemu i zasnął ponownie.

A kot również zaczął usypiać leciutko. Wtem zbudził go szczęk filiżanek tam na górze. Wstał, przeciągnął się i pokroczył na schody. Może go tam znowu będą nudzili, ale cóż?—tam jest mleko.

Sokrates spał, mając na obliczu najbardziej krwiożerczy swój wyraz*).

---

*) Z Little entertainments Barry Paine'a.

TRÓJPRZYMIERZE

Człowieka stanowią trzy organy zasadnicze: głowa, serce i brzuch.

W tym podziale zastanawia nas to, że najszlachetniejszy organ—głowa, jest rodzaju żeńskiego. To, co myśli, jak również i sama myśl jest u nas żeńska.

Organ uczuć, serce, należy do rodzaju nijakiego: serce, to — dziecko.

A mężczyzna—brzuch. Brzuch, nawet u kobiety, jest rodzaju męskiego.

Jest to reguła. Ale zdarza się czasem, że głową bywa mężczyzna, a u kobiet, zwłaszcza u tych, które często przebywają z mężczyznami, a mianowicie u żon, rozwijają się raczej cechy brzuszne.

Jak rośnie człowiek?

Naturalnie w człowieku rosnącym muszą rosnąć jego trzy zasadnicze organy. Ale ten wzrost w każdym z nich przejawia się inaczej.

Otóż naprzód głowa.

Głowa rosnąć materjalnie nie może, po prostu niema miejsca na wzrost, bo tamują go kości czaszkowe. Kość rośnie tylko w dziecku, ale wtedy właściwie nie jest kością; kością jest wówczas, kiedy skostnieje, ale wtedy już nie rośnie. Zatem

wzrost głowy materjalnie jest ograniczony. Głowa fizycznie rosnąć może tylko do pewnych granic. Ale za to wynagradza sobie tę szczupłość materjalną wzrostem myśli, nieograniczonej już niczem. Głowa wzrastająca — to rosnąca myśl.

O brzuchu zaś można powiedzieć, że właśnie materjalnie dochodzi nieraz do rozmiarów wprost nieograniczonych. Cóż ma kłaść wzrostowi brzucha tamę? Kort spodni? Surdut? czy kamizelka? To nie jest materja kostna, jak u głowy; to jest tylko materjał wełniany, ustępliwy sam przez się, a tembardziej dający się rozszerzać nieograniczenie za sprawą łatwo w tym względzie ustępującego krawca, któryby chciał, żeby na dolną szatę dla pana Brzucha musiało być brane nie dwa łokcie kortu, czy tam szewiotu, ale co najmniej dziesięć Brzuch tedy, rosnąc, staje się naprzód brzuszyskiem, potem kałdunem, baryłą, „telbuchem“, dalej staje się wielki, jak pierzyna, jak wańtuch, jak okseft, jak góra, wreszcie tak, że już i nazw dla niego, brzucha, braknie *). Posiadacz takiego

---

*) Por. Słownik Lindego. „Z swym brzuchem jak z telbuchem chodzi“. (Kochowski). Wyraz ten pochodzi z kroackiego „terbuch“, z bośniackiego „tarbuk“. Pierwiastek niemiecki — „Bauch“. W tymże Słowniku pod wyrazem „Brzuch“ spotykamy przysłowie: Brzuch tłusty — łeb pusty. Nie musiał tego przysłowia układać ktoś z tłustym brzuchem, z brzuchem takim, o jakim znów inne przysłowie powiada, że „Brzuch to wór dziurawy“. Ale z tych wszystkich uszczypliwości przysłowiowych brzuch sobie kpiąc, rośnie i potężnieje.

brzucha zolbrzymiałego, człowiek prosperujący, stara się ten swój organ zdrobnieć przynajmniej formalnie, tytularnie, nazywając go już to brzusiem, już kałdunkiem, i pieszczotliwością nazwy starając się go zdziecinnieć, zdrobnieć. Ale pieszczota stosowana do brzucha jeszcze go bardziej roznosi wszerz i wpodłuż, tak, że w końcu rozmiarami swojemi przywodzi na pamięć czasy przeddziecinne jeszcze, bo przedpotopowe, w których pławiły się w oceanie plezjozaury o kałdunach z pojemnością, przechodzącą wszelką wyobraźnię. Kamienica trzypiętrowa w takim brzuchu gigantycznym byłaby ziarnkiem piasku; mogłaby się w nim zmieścić wieś cała, dwie wsie, cały powiat, cały ojczysty kraj nawet mógłby być w takiego giganta wrzucony, i strawiony.

Ale dosyć o brzuchu. Przejdźmy do serca.

Serce jak rośnie?

Jeżeli mówimy, że „serce nam urasta“, że „przybywa nam serca“, żeśmy się „na sercu wzmogli“, jeżeli są nasze „corda sursum“, to to wszystko znaczy, że więcej, rozleglej czujemy w sobie życia, że bardziej miłujemy, że czujemy się zdolni do ukochania wszystkich i wszystkiego, że miłości naszej prawie że niema granic...

Prawie niema. Bo jest: serce nam pęka z miłości.

Brzuch nikomu jeszcze za życia nie pękł. Ale serce, wielkie, kochające serce, to już pękło niejednemu — z boleści albo z radości, jednem słowem z wielkiego ukochania.

Mówi się też i o „pękaniu głowy" czasem. Tylko brzuch jest najwytrzymalszy.

Brzuch może się rozszerzyć, bez obawy pęknięcia, najbardziej, ale też rozszerzenie to jest czysto materjalne, polegające na rozdęciu się kiszek, opony brzusznej i sadła. Serce może się rozszerzyć już nie tyle materjalnie, ile uczuciowo. Sercem można objąć bardzo wiele, ale w końcu i serce wydaje się niedostatecznem do ogarnięcia tych, których kochamy, i wówczas albo rozszerzone do ostatnich granic fizycznych pęka, albo też wdaje się w tę sprawę głowa, i ona ciężar słodki dalszego obejmowania na siebie przyjmuje, w tym celu posiłkując się myślą, dla której granic już niema.

II.

Pewnego razu, w pewnym człowieku, który dłuższy czas w harmonji swoich trzech części składowych żył, głowa, jako do ogarnięć największych uzdolniona najbardziej, zaczęła podporządkowywać sobie najbliżej sąsiadujące z nią serce. Ale wskutek tych aneksyjnych wykroczeń, zajmując serce, przejęła nieco jego uczuciowości tej, która

się udziela najłatwiej — mianowicie pychy. Głowa zaczęła sobie pochlebiać, że inne członki są w człowieku zbyteczne i w następstwie tej wygórowanej samooceny, jęła z góry traktować swoich wspólników, mówiąc, że ona położona najwyżej, a tamci nic nie znaczą, że brzuch jest tylko dla człowieka ciężarem, a że serca wcale w życiu nie widać, bo jest tam gdzieś głęboko schowane. Jednem słowem z całego człowieka wartościową i jedynie wartościową rzeczą jest głowa.

— Powiedz temu kałdunowi — tak rzecze raz głowa sercu: — bo ja wzdrygam się gadać z tem brzuszyskiem, że mu za służbę dziękuję, że już mam dosyć tej jego czynności, polegającej na jego ciągłem przetrawianiu mięs, jarzyn, chlebów i całej kolekcji trunków. Już mi brzucha nie potrzeba. Może sobie iść.

— A cóż będzie robił ten biedak? — mówi serce.

— Niech sobie robi, co mu się podoba! — rzekła głowa ostro: — może sobie zostać balonem, radcą w jakiem stowarzyszeniu, gdzie trzeba tylko siedzieć na posiedzeniach, jeść i pić... Zresztą niech będzie, czem chce, niech zostanie babą do wbijania palów — to też karjera. Wszystko niech robi, bylem go tylko nie widziała. Co spojrzę, zdaje mi się, że widzę przed sobą górę. Dosyć tego. Idź i powiedz mu.

Serce, acz z bólem swoim wielkim, ale nie śmiejąc odmówić głowie, zwróciło się drugą stroną swoją do brzucha i powiada:

— Brzuchu, tylko się nie martw, kochanie, tem co ci mam do zakomunikowania od głowy.

— Co — burknął brzuch: Jakiem prawem głowa śmie mi coś komunikować? Patrzcie mi, jaki naczelnik! Małe to jak kawon, głowa kapusty od tego większa, i to ma czelność komunikować mi coś...

— Ale bo nie wiesz co i zaraz się gniewasz. Posłuchaj! Głowa komunikuje ci, żebyś się podał do dymisji.

— Co, mnie dymisjonować? — zadudniło w brzuchu. — En voila du nouveau! Attends, ma belle! Nie, aż mię rozsadza. Powiedz tej mózgownicy, że kpię sobie z jej zapatrywań i że rozkazywać może mi tylko człowiek, a nie jakaś tam głowa, umieszczona na karku, jak makówka na łodydze. Idź i powiedz to.

Serce znowu zwróciło się do głowy i mówi:

— Tak i tak, moja głowo. Brzuch powiada, że rozkazywać mu tylko człowiek ma prawo. Zlitujcie się, nie kłóćcie się, bo doprawdy aż mię coś zaczyna kłuć w dołku. Miłości, kochani moi, więcej miłości. Jeżeli nie kochacie siebie nawzajem, to kochajcie się w imię człowieka.

— Nie znam żadnego człowieka nad sobą — rzecze głowa: — Co ja rozkazuję, to ma być i kwita. A ty, serce, zanadto się roztkliwiasz i zdaje się, trzymasz stronę brzucha.

— Ja? Ależ, kochanie moje, głowo. Ja was oboje kocham, jak rodzonych moich. Tyś mi, głowo, siostrą, a on mi, brzuch, jest bratem. Gdy różnicie się z sobą, serdecznie mnie boli.

— Eh, ty, mazgaju! Idź zaraz powiedz brzuchowi, że człowiek — to ja, i że mocą swoją skazuję go na wycieńczenie. Idź.

Serce zaczęło bić w przyśpieszonem tempie, jako zmuszone przez głowę do niemiłych, nieprzyjaznych posług, a tak sercu niewłaściwych. Ale znowu obawiając się narazić głowie i zrobić jej przykrość, zwróciło się do brzucha.

— Wiesz, brzuchu — powiada — gdzie jest człowiek?

— No? przecież nie w głowie.

— A właśnie, że głowa powiada, że w głowie.

— J a m a i s! — zadudnił brzuch. — Prędzej w brzuchu. Niewątpliwie, poco mam szukać go gdzieindziej. Wszakże umiem myśleć o sobie, zatem są we mnie i funkcje głowy: czuć także potrafię i jeszcze jak? lepiej od ciebie, od serca, czuję głód — cierpienie i sytość — rozkosz. Ja jestem obdarzony zdolnościami za wszystkich. Niepo-

trzebni mi jesteście! L'homme — c'est le ventre. Nie potrzeba już mi serca. Sam się rozmówię z tem siedliskiem zwojów mózgowych, z tą moją parodją. Hej, głowo! Posłuchaj! Żądam z tobą tête-a'-tete.

Głowa milczała dumnie. Więc brzuch znowu:

— Hej, głowo, podaj się do dymisji. Jesteś mi niepotrzebna. Możesz sobie na głowie stawać, a nie zmusisz mnie do zaparcia się samego siebie. Zaparcie jest dla mnie niezmiernie szkodliwe.

— A więc możesz się sobie rozwolnić — rzekła nareszcie głowa, porwana przez chęć zrobienia dowcipu. — Daję ci rozwolnienie od obowiązków.

— A któż będzie trawił, ciekawym? Ja, ponieważ mam tę zdolność, jestem ważniejszym chyba od ciebie, nie mówiąc już o tem, że i czuć potrafię.

Smak potraw...

— Proszę mi nie przerywać. I czuć potrafię...

— O tak, umiesz dać się... czuć, brzuchu.

— Proszę mi nie przerywać. I czuć potrafię, powiadam, i myśleć...

— O sobie. Ty innej myśli nie znasz.

— Czy dasz mi nareszcie mówić? A więc ja, który sam własnemi środkami, sokami, ściślej mówiąc, umiem trawić, dalej umiem czuć i nako-

niec umiem myśleć, nie spieram się o czem i jak, zresztą myślec o sobie, to jest cnota kardynalska... te, chciałem powiedzieć kardynalna, bo jeżeli ty sam o sobie nie pomyślisz, to któż pomyśli o tobie?

— A ja, głowa. Nie myślęż ja o wszystkiem?

— Dziękuję za taką myśl. Czy myślisz, że pomyślany naprzykład gulasz wołowy, albo kapusta faszerowana może mi się na coś przydać? Ładniebym wyglądał, myślą się żywiąc.

— A ja, głowa? Czy myślisz, że ja żyję czemś innem, niż myśl? Ja, myśląc, żyję i żyjąc myślę. Żyję, aby myśleć, myślę, aby żyć.

— To zupełnie prawie, jak ja. Ja, brzuch, jem, aby żyć, żyję, aby jeść. No, więc widzisz sama, moja głowo, że jesteśmy do siebie uderzająco podobni pod tym względem, z tą różnicą, że ja cię daleko przewyższam, umiejąc, oprócz jedzenia, jeszcze czuć i myśleć. A myśl gra w życiu mojem rolę właściwą, a nie tak chorobliwie i jednostronnie wybujałą, jak u ciebie. Ja myślę o tem, żeby dobrze zjeść. To grunt życia. Być — to znaczy jeść i pić — oto zakres mojego myślenia, nie przechodzący słusznych stanowisku memu odpowiednich wymagań. Myśleć, myśleć o sobie, jeżeli chcesz, umiem i umiem sobie wystarczać; obejdę się bez ciebie, bez głowy. Głowę rozumiem cielęcą, prosięcą, albo wreszcie świńską, litewską z dzi-

ka — delicje. Ale ty, głowa, mająca pretensje być moją: i, co więcej, głowa, roszcząca sobie prawo do grania roli człowieka — nie, za taką głowę dziękuję, mam w sercu taką głowę. Brzucha na nią za szkoda. Tak, głowę mam w sercu, serce mam... także w sercu. Co mi po sercu. Serce prawie że jest niejadalne. Szewcy je tylko lubią. Nie chcę serca mieć, nie chcę w serce ani na serce patrzeć. Sam sobie wystarczam pod względem czuciowym i basta. Jestem sam w sobie zaokrąglonym światem. Ich bin mein eigenes Eigentum. L'etat c'est moi. Rozwiń moje kiszki na długość: ziemię niemi opaszesz. Poza mną niema nic, bo ja jestem bytem.

— Jest jeszcze poza tobą rezultat twojej działalności życiowej — twój odbyt. Zaprawdę, dopóki ty bytujesz, świat musi być zanieczyszczany przez ciebie, przez twoje odbyty. Bytuj więc sobie sam, zaokrąglaj się i upodabniaj do ziemskiej okrągłości. Zrywam z tobą, bo nie mogę na twoją wyolbrzymiałość już patrzeć. Oderwę się od ciebie i będę żyła czystą myślą, myślą dla myśli i tak się w swoją myśl wmyślę, tak...

— Że zapadniesz na umyśle...

— Nie przerywaj mi, brzuchu. Więc tak się, powiadam, wmyślę w istność wszechrzeczy, że pomiędzy nią, tą istnością, a pomiędzy moją o niej

myślą, coraz minimalniejszy, jak myślę, przedział będzie, aż wkońcu, oprócz mojej myśli, nie będzie na świecie nic...

— A ja? — zabiło nagle serce. — Zapomnieliście o mnie? Tchu już mi brak od waszych przekomarzań. Dla ciebie, głowo, być — znaczy myśleć; dla ciebie, brzuchu, być — znaczy jeść i pić. Ale dla mnie, serdeńka wy moje, być — to znaczy bić. A komuż będę biło, jeżeli wy się pozabijacie? Bić, bić się, zabijać, zabijać się, podbijać się, rozbijać — zostawcie to już, serdeczni wy moi, mnie. Ty sobie, głowo, myśl, ty sobie, brzuchu, traw, a ja, serca wy moje, już mnie tam najlepiej odpowiada bicie. Bić wam przestanę i co? Zginiecie oboje. Już i teraz, kiedyście się tak kłócili, ledwie, ledwie już bić nie przestałom, czyli być. A nie będę ja, nie będzie i was.

— Czy to być może? — spytali razem zaniepokojeni brzuch z głową.

— To jest tak pewne, jak to, że was kocham, dopóki bić mogę. Miłuję was, dopóki uderzać mi pozwalacie swoją zgodnością. Chcecie rządzić, ty, głowo, sama, albo ty sam, brzuchu, to uderzenia moje coraz zamierają, aż mogę umrzeć całkiem, a wtedy kto was będzie kochał. Zginiecie.

— Więc co? — rzekł brzuch, — może się nam każesz kochać także? Ja, brzuch, mogę żyć bez głowy i sam.

— Tak, jak ja — rzekła głowa — bez brzucha. Kochać cię? Kochać takiego bytowca? Nie.

— Nie potrzeba, abyście wy kochali. Tylko pozwólcie mnie was kochać, mnie dajcie żyć pomiędzy wami.

— Cóż mnie każesz robić, serce? — rzekł brzuch.

— Jedz, pij, traw i żyj, ale żyj nie dla siebie, nie myśl o sobie.

— A dla kogóż mam żyć?

— Dla człowieka. Żyj z tą myślą, że służysz człowiekowi.

— A ja? — spytała głowa.

— A ty? Ty właśnie myśl o sobie, a nie o brzuchu. Ty myśl o myśli człowieczej i nie wdawaj się w sprawy brzuszne. A ja, serce, będę wam biło miłością.

— A wtedy wy wszyscy ujrzycie naraz niewidzialnego wam aż dotąd człowieka.

Był to głos, a raczej szept ledwie dosłyszalny, ale dla nich w tej chwili jednako zrozumiały. I umilkli i zaczęli go słuchać.

SKRZYPCE I SMYK

W pewnej fabryce narzędzi muzycznych znalazły się tuż przy sobie Skrzypce i Smyk. Byli oboje piękni i młodzi i dla siebie stworzeni, ale się jeszcze nie znali. Jeszcze genjusz muzyki ich nie połączył, choć już skłaniało ich do siebie jakieś wzajemne, nieprzemożone ciążenie.

Skrzypce, — była to osóbka o cudnych zaokrągleniach, pełnych rytmu i harmonji. Na piersiach miała wycięcia, przez które widać było kołeczek, zwany duszą. Bez tego kołeczka skrzypce nie miałyby należytego głosu.

Wolelibyśmy, żeby zamiast „Skrzypce“, w tej bajce przynajmniej, można było mówić: „Skrzypca“, albo zdrobniale „Skrzypka“. Byłby to wyraz odpowiedniejszy dla panny. Z jakich względów po polsku skrzypcę stanowią liczbę tylko mnogą, t. zw. „plurale tantum“ (podobnie jest szczypce, nożyce i t. p.), kiedy w innych językach ten rzeczownik używa się i w liczbie pojedynczej, ma życie indywidualne? Nasza gramatyka nie pozwala na to, żebyśmy się np. lubowali jedną skrzypcą, tylko ko-

niecznie skrzypcami. Czyżby kochanie się w „jednej“ było gramatycznym błędem u nas w Polsce? Czy też może nasza „jedna“ nie chce poprzestawać na naszym „jednym“? Dosyć, że nie mówi się u nas „skrzypca“, tylko „skrzypce“.

Smyk przedstawiał sobą młodzieńca smukłego, szczupłego, chuderlawego, cienkiego, o długiem włosieniu, starannie i równo uczesanym. Wyglądał, jak poeta. Wprawdzie staranność uczesania mogłaby temu przeczyć, ale u poetów i to bywa. Wszystkiego się od nich można spodziewać.

Smyk, jako mężczyzna z inicjatywą (mogący żyć i w liczbie pojedynczej), sam się pierwszy przedstawił swojej przyszłego życia towarzyszce.

— Smyk jestem — rzekł z prostotą.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekły Skrzypce (wolelibyśmy powiedzieć: rzekła Skrzypca):— Czem mogę panu służyć?

— To ja raczej — rzekł Smyk — chciałbym pani służyć za dozgonnego towarzysza. Nie wiem, czemu, ale coś mię do pani ciągnie nieodparcie. Jakiś fatalizm! Kocham...

— W takim razie niech pan się zwróci do mamy, ot — tam.

— Do tej tam basetli?

— Nie inaczej. Ale muszę pana poinformować, że moja mama nie jest żadną basetlą, jeno wiolonczelą. Niech pan wie o tem.

— Dobrze, będę wiedział. Chociaż właściwie na co mi ta baset... chciałem powiedzieć wiolonczela? Kocham ciebie i tylko ciebie i nie chcę mieć żadnych pozwoleń maminych. Co tu do rzeczy ma mama?

— Tak jest przyjęte. Należy się stosować do zwyczajów, które uświęciła tradycja.

— Tradycja? Kpij sobie z tej basetli.

— Ale dla mnie to rzecz bardzo ważna. Kocham mamę i proszę to zrobić dla mnie.

— Dobrze, niech i tak będzie.

To powiedziawszy, Smyk poskoczył do basetli, czyli do wiolonczeli i, siląc się na uprzejmość, rzekł:

— Śmiem prosić o rękę pani córki. Właściwie niewiele mnie obchodzi pani zezwolenie, ale ona sobie tego życzy.

— Kochane dziecko! — rzekła basetla: — Co się zaś tyczy pańskiego żądania, wyrażonego tak impertynencko, to naprzód racz o tem wiedzieć, że małżeństwo jest to koncert — bo czyż nie jest koncertem małżeństwo? — przecież nie duetem, tylko koncertem, a w każdym razie głos mój, głos matki wiolonczeli, czyż nie jest rzeczą niezbędną? Następnie przechodzę do drugiego punktu — kto pana rodzi?

— Mojem drzewem genealogicznem — rzekł Smyk — jest bukszpan.

— To niewielka parantela dla nas, które pochodzimy od lip i sosen. A co to masz pan na sobie za włosy? Czy to nie z końskiego ogona przypadkiem?

— Tak, to jest końskie włosie.

— Końskie włosie! I ja miałabym oddawać swoje dziecko za takiego parwenjusza! Nigdy! Trzeba panu wiedzieć, że ród nasz ma swój początek z Włoch i datuje się od czasów królowej Bony. A pan—końskie włosie, które może dopiero wczoraj miał w ogonie koń! Nie, nie mogę pozwolić na taki mezaljans! Królowa Bona i końskį ogon! Nie, stanowczo nie pozwalam!

— Pani, wszakże tylko ja mogę uszczęśliwić pani córkę tak, jak i mnie ona. Błagam!

— Nie! M a i! B a s t a! A zresztą, dlaczego właśnie chcesz mojej córki? Nie masz to tylu innych instrumentów giętych? A nawet i mnie mógłbyś się przydać. Jestem wdowa. Mój smyk się złamał ze starości. Potrzeba mi...

— Pani żartuje? — zawołał Smyk, niemile oszołomiony tą propozycją: — Wszakżeż ja, nawet gdybym nie kochał się w pani córce, to nie jestem dla pani rozmiarów odpowiedni. Nie czuję do pani najmniejszego pociągu. Jeszcze raz proszę o Skrzypce.

— Nigdy — rzekła wiolonczela: — Więc ja miałabym przyglądać się spokojnie waszemu

szczęściu, po tym afroncie, którego doznałam od pana. Nigdy!

Smyk gorzko się zamyślił.

— A w dodatku, proszę pana — ciągnęła wiolonczela — pan widzę nie oceniasz należycie, czem jest w istocie swej każda osoba żeńska? Jeżeli ja ci robię zaszczyt, proponując, abyś mi służył, to powinieneś przyjąć to z wdzięcznością. Któż pan jesteś? Mężczyzna, czyli prostak, patyk nic nie znaczący z trochą końskiego włosia. A my, wiolonczele — spójrz tylko. Mamy szerokie biodra, mamy piersi tak samo szerokie i wydatne.

— A w środku pustka — kolnął Smyk.

— O, przepraszam. W tej pustce mieści się nasza dusza.

— Klocek! Kawałek drewienka! Gdy tymczasem ja, Smyk, swoją całą osobą przedstawiam duszę. Dusza niewątpliwie musi mieć kształt smyka.

— Czy z końskiem włosiem?

— Rozumie się. Włos — to jakby duszy promienie.

— Niechże też pan nie zawraca głowy z takiem pojęciem duszy. Dusza to kołeczek w ogromnym obszarze...

— Pustym! ha, ha!...

— ...obszarze naszych bioder, naszych brzu-

chów i piersi. A talja nasza? Spójrz, jaka jestem wcięta w pasie, co? Patrz, na talji mam podstawek, a na nim rozpięte struny...

— Z baranich kiszek, ha, ha, ha!

— O, przepraszam. Są i metalowe struny. A moja szyja? mój gryf? Co powiesz o tem, panie Smyku? Czyś widział kiedy łabędzia z wdzięczniej wygiętą szyją?

— Widziałem, wprawdzie nie łabędzia, ale gęśl. Nawet, o ile się nie mylę, to gęśl jest pani bliska krewna?

— Gdzież tam. Zaledwie powinowata daleka. Nędzarka, ma tylko trzy struny. Proszę mi o niej nie wspominać. Wogóle żegnam pana. Nie chcę pana już widzieć.

Biedny smyk był zrozpaczony.

Co tu robić? Jak przekonać basetlę o tem, że Skrzypce są mu droższe nad życie, że on, Smyk, nie rozumie życia bez Skrzypki, że chyba mu wypadnie popełnić samobójstwo, że ten upór basetli podsyca jej obrażona miłość własna. Co za fanaberje arystokratyczne (a krewna gęśli, ha, ha, ha!)... Co tu robić? O moja cudna Skrzypko, czemże jestem bez ciebie? i czemże ty jesteś beze mnie? O jakże cię kocham!

Tak rozpaczał Smyk i zaczął z tęsknoty schnąć, co zresztą przy jego wrodzonej szczupło-

ści nie było zbyt widoczne. Cierpiał nie tyle ciałem, ile całą swoją duszą.

Mama wiolonczela po tej rozmowie ze Smykiem zabroniła córce zbliżać się do niego i w razie nieposłuszeństwa, groziła jej wyklęciem.

Córka, szanująca tradycje macierzyńskości, uległa, ale również schła i czuła, że jest coraz mniej potrzebna na świecie.

Tak stały rzeczy, kiedy pewnego dnia przyszedł do sklepu genjusz muzyk i od jednego rzutu oka poznał, że tych dwoje Bóg dla siebie przeznaczył. Ujął skrzypkę, położył na jej młodej piersi Smyk i zagrał

I popłynęła melodja, która się zowie miłością. Miłością bez pozwolenia mam.

A miłość jest to połączenie stworzeń sobie przeznaczonych, sobie do życia nieodzownych, siebie nawzajem dopełnających.

I miłość taka jest święta.

Ale nie uświęcają jej żadne tradycyjne zezwalania mam, ani dla nich przeszkodę stanowią mam wstręty.

Sankcję daje im genjusz, który się zowie melodją życia.

O ty, czytelnico i ty, czytelniku! Jeżeli czujecie się dotknięci tem, żem was porównał jedną do skrzypiec, drugiego do smyka, to najserdeczniej

was przepraszam. Bądź co bądź prawdą pozostaje, że kobieta bez mężczyzny i mężczyzna bez kobiety — to skrzypce bez smyka i smyk bez skrzypiec. Jak z połączenia jednych rodzi się melodja, tak ze związku drugich — człowiek.

Dobrze. Ale dlaczego jednak po polsku skrzypce — tylko liczba mnoga? Dlaczego u nas po polsku nie można się lubować czy tam kochać w „skrzypcy" jednej, ale zaraz potrzebne nam są do tego s k r z y p c e? Widać kochanie się w jednej jest u nas błędem gramatycznym.

SPRAWA KOBIECA

nas przygnębiało. [illegible] że kobieta bez mężczyzny i mężczyzna bez kobiety — to połowa bez [illegible] [illegible] z położenia których rodzi się [illegible] [illegible]

Dobrze, [illegible]

Są zwroty w pewnym języku utarte i mające prawo powszechnego obywatelstwa, i nie nadające się do przekładu na języki inne.

Bo jakże wyrazić „das ewig weibliche“ naprzykład po łacinie? „Sempiternum femininum“? Nie. „Sempiterna femina“? Nie, stanowczo wyraz „sempiterna“ jest tu nieodpowiedni.

Przetłumaczyć — nie, ale zastąpić „das ewig weibliche“ po łacinie można. Można powiedzieć „Venus“: będzie to znaczyło to samo.

A „Venus“ też znowu na inny język przetłumaczyć się nie da. Żywcem trzeba ją brać. I tak też ją biorą wszystkie języki.

Francuzi spróbowali przetłumaczyć „das ewig weibliche“ przez éternel feminin“, ale zaraz widać, że to tłumaczenie, że to nie jest tak rdzenny, niedający się również na inne języki tłumaczyć zwrot, jak np. „faire l'amour“, albo „cherchez la femme“.

Po włosku możnaby „das ewig weibliche“ zastąpić też przez jaką nie poddającą się tłumaczeniu formułę, choćby np. przez „la donna e mobile“.

W języku angielskim nie znajdujemy nawet zbliżonego odpowiednika. Najwłaściwiej jeszcze byłoby na zapewnienie, że „la donna e mobile“ odpowiedzieć najrdzenniejszym angielskim wyrazem: „yes“ albo „all right“!

A po polsku?

Jak po polsku wyrazić najlepiej, co znaczy „das ewig weibliche“?

Jest na to jeden tylko wyraz, ale dobry: „mężczyzna“.

Po polsku „das ewig weibliche“ to — mężczyzna.

Polak był i jest „das ewig weibliche“.

W najbardziej królewskich swoich przedstawicielach, jak np.: Kazimierz Wielki (i Esterka), Sobieski (i Marysieńka), Poniatowski (i...Das Ewig Weibliche), książę Józef (i Warszawski seraj), Polak jest wiecznej kobiecości przykładem najistotniejszym.

Polak nad wszystko przekłada kobiecość. Polak jest nieśmiertelnej kobiecości najlepiej odpowiadającym śmiertelnkiem. Dlatego Polska, najlepiej kobiecości służąca, nie zginie na wieki.

Nie zginie, ponieważ „das weibliche ist ewig“.

*

* *

Było w Polsce razu pewnego stadło małżeńskie.

Ona była „das ewig weibliche“, on był chrześcijaninem i dobrym patrjotą, mniemającym, że przysporzenie państwu obywateli jest najpierwszym chrześcjańskim obowiązkiem.

I dlatego co noc obowiązku swego, nie zaniedbując, małżonkę swoją pytaniem tem, po francusku wyrażonem (ponieważ ten język Chrystusowi niezawodnie milszym jest od polskiego) nagabywał:

— „Eh bien, ma chêre, allons-nous cette nuit faire un chrétien“?

— „Das ewig weibliche“— odpowiadała wiecznie.

— „Mais oui, mon chêre“.

Tak co noc umożebniało się chrześcijaninowi poczęcie ziemskiego życia.

Niewątpliwie dużo było w tem zasługi ojczyznianej tak co noc otwierać wrota na przybycie chrześcijanina.

I my to również pochwalamy. Jedno tylko mielibyśmy do nadmienienia. To mianowicie, że właśnie ze względu patrjotycznego ten chrystjanizm francuski należałoby spolonizować.

Czyż nie godziwiej byłoby, gdyby małżonek co noc, zamiast „faire l'amour“ po francusku, pytał małżonki swoją własną mową polską:

— Żoneczko, może dziś jedną Polkę?

Albo:

— Żoniu, może dziś jednego Mazura? Co?

A żona odpowiadałaby wiecznie:

— I owszem, mężusiu.

Nawiasem mówiąc, żaden na świecie taniec nie ma piętna swej narodowości, oprócz tańców polskich. Niema np. tańców: Węgier, Anglik, Francuz, Niemiec, ale są tańce: Polonez (Polonus), Polka, Mazur, Kujawiak.

Polacy umieją tańczyć.

Ale ponieważ mistrzami w muzyce nie są najpierwszymi, więc wogóle Polacy to jest naród, który doskonale tańczy, jak mu ktoś zagra.

*

* *

W dziejach Egiptu, (opracowanych przez egiptologa Maspero) czytamy następującą (treściwie tu przytaczam ją) opowieść.

Dygnitarz pewien miał żonę wiernie go kochającą. I sam ją kochał tak dalece, że chcąc jakąś tam jej kosztowną zachciankę (chciała gwiazdy z nieba może) zaspokoić, a nie mając pod ręką gotówki, nadwyrężył kasę mu powierzoną.

Ale się ta rzecz wykryła, sądzono go i skazano na powieszenie.

Żona, w nieustannym płaczu wzywała niebo i ziemię na świadectwo boleści swej niezmiernej. A kiedy mąż już na stryku zawisł, ślubowała, nie jedząc i nie pijąc, przy wisielcu czuwać dotąd, aż go ze sznura odczepią i pogrzebać jej pozwolą.

W tym zamiarze szlachetnym wytrwała dzień jeden i byłaby może dotrwała do samego końca, gdyby nie to, że przy szubienicy była przystawiona straż.

I to jeszcze nie stanowiłoby może przeszkody dla niej w cnotliwem przedsięwzięciu, gdyby nie to, że strażą tą był człowiek bardzo nieszpetny, o oczach żywych i usposobieniu wesołem.

Z nim, gdy o nieboszczyku jęli rozmawiać, jego cnoty wychwalając, nieznacznie wdowę nieszczęsną do przyjęcia jadła odrobiny i do wypicia krzty wina namówił w dniu pierwszym. Dnia drugiego już jej nie potrzebował do pociech gastrycznych namawiać, a w dniu trzecim przyjąć odeń i inne ukojenia zezwoliła.

Przy ostygłym, lekko przez wiatr kołysanym trupie męża swego, dała świadectwo prawdzie tej, że kobiecość, czy to dziś, czy przed zamierzchłemi wiekami faraonowych czasów, wiecznie jest ta sama, że „das weibliche ist ewig“ i że, jako taka, nawet w objęciach szubienicznego strażnika nie zginie.

*

* *

„Das ewig weibliche“ pewnej damy łaknęło połączenia z „das ewig männliche“, bynajmniej nie dla związanej z tem rozkoszy, tylko dla czegoś innego.

Mianowicie ta dama chciała mieć dziecko.

Czegoż się nie robi dla dziecka?

Miłość dla dzieci przecież to jedna z największych cnót społecznych.

Otóż ta dama pewnego razu rzekła mi:

— Chcę mieć z panem dziecko.

Na co ja odpowiedziałem:

— Nie znam kobiety, z którą chciałbym „ja“ mieć dziecko. Więc daruje pani...

Dama przybrała ton obrażonej. Co widząc ja gwoli jej pocieszeniu mówię:

— Wybaczy pani, ale dziecka „chcieć“ mogę tylko ja. Pani wolno jest chcieć tylko m o j e g o dziecka, nie swego. Decyduję o dziecku ja. A w tej chwili dziecko nie jest mi potrzebne. Jeszczem się nie dosyć sobie samemu sprzykrzył, jako całość Jeszcze mi nie pilno na drobiazg się rozmieniać.

*

* *

Słyszałem raz takie serdeczne westchnienie pewnej bez wzajemności kochanej osoby:

— Ach, gdybym mogła się dowiedzieć o „nim“ czegoś złego, jakżeby mi to ulżyło.

Te nierozumne słowa rzucają jaskrawe światło na tak zwane zakochanie się.

Kto kocha naprawdę, nie samolubnie; kto kocha nie siebie, tylko kogoś, ten owszem, będzie pragnął ujrzeć swój ideał jak najwyżej, bez względu na to, czy ma wzajemność lub niema. W tym ostatnim razie wini siebie, że na miłość wzajemną nie zasłużył. I kocha jeszcze bardziej.

Kocha tą miłością, o której mówi Dante:

„L'amore che muove il sol e l'altre stelle.“

FUTURYSTA

Firma Szpicbube, Kułak et C-ie, kiedy kurs marki polskiej stał bardzo nisko, podniosła ceny bardzo wysoko; gdy kurs się podwyższył, firma wyśrubowała ceny jeszcze wyżej. Szef tej firmy, zapytywany przez klientelę, dlaczego tak robi, odrzekł:

— Bo ja jestem futurysta.

— Co ma wspólnego futuryzm z paskarstwem?

— Wszystko. Posłuchaj pan. Marka spada. Jako dobry obywatel, logicznie biorąc, powinienem był ceny zniżyć. Zwiększyłem je. Marka idzie w górę — jako dobry obywatel powinienem był logicznie biorąc, ceny obniżyć. Co ja robię? Zwiększam je w dwójnasób. Brak logiki. Futuryzm. Nonsensy, tańczące po ulicach. Każdy może być artystą. Ja wybrałem futuryzm. Z ust mi wyjęli swoje hasła. Przekreślam logikę, jako mieszczańsko - burżuazyjną formę umysłu. Pluję na książkę do tego stopnia, że nie prowadzę ksiąg handlowych, a jeżeli to najwyżej w formie nut, według których ja śpiewam klientom i oni śpiewają. Potop cudow-

wności i niespodzianek. Skóry staniały a ja sobie o dziwo, każę płacić za buty coraz drożej. Pochwalam życie, ruch, motłoch, kanalizacje, wodociągi, zwłaszcza te ostatnie, z których mam mleko. I dział mój — to miasto, wielkie miasto, większe niż Łowicz. Wsi nie lubię, chociaż muszę ją kupić, bo nie wiem, co robić z pieniędzmi. Uważaj pan, jak tu cudownie cierpi logika. Cel mój — pieniądz. Osiągam ten cel i robię sobie podwójną przykrość: wyzbywam się pieniędzy i kupuję rzecz, której nie lubię — wieś. Jednego się jeszcze, jak dotąd, nie nauczyłem: wyrażać się możliwie bez sensu i pisać bez gramatyki. Cóż pan chcesz — stare przyzwyczajnie. Klient wziąłby mnie za warjata i przestałby u mnie kupować. Ale w gruncie rzeczy kocham absurd i ku niemu dążę. Gramatyczność i prawa, czyli komórki mózgowe coraz bardziej zmiękczam, a za to utwardniam wewnętrzną konieczność, która po tonie A (wysoka cena) domaga się tonu C (cena wyższa), a po tonie C tonu wysokiego Cis. A nigdy nie zniżę się do tonu U, który mi przypomina ul. Tak, jestem futurystą. Zaczynam pisać Boga, rzekę Bug i drzewo bukowe jednakowo — bug. Szkoda tylko, że w tym wyrazie siedzi w środku ta niemiła litera U. Muszę zaproponować moim znajomym futurystom, żeby to zreformowali. Oni tak skorzy do reform, to im będzie

łatwo mówić bóg na wszystko. Bóg jest wszystkiem. A prawda, to za bardzo byłoby logiczne. Więc może być tak: na Boga będzie się pisało bók, na buk — bóg, na Bug — też wypada bóg, wieęc chyba gób, a w takim razie na gub od gubić jak będzie? Bodaj również bóg; bok można będzie pisać kob... No jak pan widzisz wpadam już na właściwe tory transu futurystycznego. Tylko drukować i na słup... Znowu to U przeklęte. Niech będzie „na słóp". Mój Boże, jakie to jeszcze można efekty wywołać na słupie, kombinując o kreskowane z tą literą U i ze spółgłoskami D i P i B... Reklama — oto co jeszcze mię łączy z futuryzmem. Na jednym punkcie tylko bym się z nim posprzeczał. Mówią oni tak. „Przekreślamy zdanie, jako antypoezyjny dziwoląg". I potem wypowiadają takie „z d a n i e, czyli antypoezyjny dziwoląg· „Poezja jako sztuka, operująca wartościami akustycznemi może być o d d a w a n a jedynie słowem. Więc całe to zdanie jest antypoezyjnym dziwolągiem. A prawda — brak logiki przychodzi tu na pomoc. To jest słuszne, bo nie logiczne. C r e d o q u i a a b s u r d u m. W takim razie na to zgoda. ale dlaczego powiadają „może być o d d a w a n a". Nie należy niczego w życiu oddawać. T o u j o u r s p r e n d r e, j a m a i s r e n d r e e n c o r e p r e t e n d r e. Stara to zasada i dobra

pomimo, że logiczna. Jeżeliby nawet sfuturyzować ten aforyzm na „Toujours pretendre, jamais rendre, encore prendre“, to zawsze w środku, jako niewzruszona zasada będzie: „jamais rendre“. Moje uszanowanie panu. Co znaczy futurystycznie: pańskie uszanowanie dla mnie.

STRAJK ZŁOCZYŃCÓW

(UTOPJA).

W roku 2222-gim, czyli w roku, w którym zdarzyć się coś nadzwyczajnego było powinno — zdarzyła się rzecz taka.

Wszyscy ludzie, których podciąga kodeks pod miano złoczyńców — zastrajkowali.

Były do tego czasu strajki różne. Był strajk kolejarzy, strajk robotników fabrycznych, strajk listonoszów, strajk woźniców tramwajowych, omnibusowych i innych, był strajk kelnerów, strajk szewców, stolarzy, piekarzy i wogóle rzemieślników, i wogóle ludzi, wytwarzających jakiś pożytek, jakieś dobro.

Ale żeby producenci zła strajkowali, żeby temu lub owemu złoczyńcy przyszło na myśl zastrajkować w swojem złoczyństwie, na to potrzeba było aż roku tak kabalistycznie skonstruowanego, jak rok ów dwutysiączny dwóchsetny dwudziesty i drugi.

Zła nie chce pełnić nikt a nikt. Niech będzie samo dobro na świecie — powiadają złoczyńcy i zwijają warsztat. Złodziej nie kradnie, zbójca nie

zabija, gwałciciel nie gwałci, fałszerz nie fałszuje, stręczyciel nie stręczy, oszust nie oszukuje, kłamca nie kłamie, łapówkarz nie przyjmuje łapówek, zdzierca nie zdziera, krzywoprzysiężca nie przysięga krzywo, cudzołożnik nie cudzołoży, oszczerca, obmówca i potwarca mówią tylko o ludziach dobrze — jednem słowem — złego nic.

Jakiś kataklizm powszechny zwiał naraz z oblicza społecznego wszystkich ludzi nieprawych. Zostali sami prawi, sami prawnicy.

Siedzą i medytują, co tu teraz robić?

W sądach niema kogo badać, sądzić i skazywać. Siedzą sędziowie za stołem oto, prezes, prokurator, sekretarz, funkcjonarjusze sprawiedliwości z zardzewiałem obecnie spojrzeniem, które rozbłyskiwało dawniej na widok zła, adwokaci też z próżnemi tekami siedzą, również ziewając, tak, że nawet ochota ich do opowiadania sobie tłustych anegdot odbiegła; niema publiczności, lubiącej się gapić, albo dawać tak ochotnie złe świadectwo o swoim bliźnim; notarjuszów niema, woźnych sądowych niema, ajentów policyjnych... Słowem, cały ten aparat, skupiający się naokoło zła i z niego, jak roślinność z mierzwy, rosnący, przestał funkcjonować.

Tak samo i w kościele — pustka. Nikt nie przystępuje do spowiedzi, bo grzech przestał ist-

mieć; nikt nie słucha napomnień z kazalnicy, bo ludzie wiedzą, jak żyć, mianowicie: powstrzymać w sobie zło, zastrajkować w występku; dalej — nikt nie modli się i nie jęczy: „od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie!“ — bo niema ani zarazy, ani głodu, ani pożaru, ani wojny na świecie.

Głód jednak, zanim przestał istnieć zupełnie, dotknął śmiercią tych wszystkich, którzy ze zła się żywili. Powymierały towarzystwa asekuracyjne od różnych klęsk, bo klęsk zabrakło.

Zniszczył, powytępiał głód i dziennikarzy. Bo o czemże mieli pisać, jeżeli na zło taka posucha. Mogliby byli wprawdzie zacząć pisać o czemś dobrem, ale na to trzeba mieć coś dobrego w sobie, tymczasem ich ciągła pogoń za złem sprawiła, że przestali byli wierzyć w jakiekolwiek dobro, poprostu oślepli, jak kret, któremu oczy niepotrzebne.

Bankructwo ogarnęło jeszcze jedną sferę: literaturę t. zw. powieściową. Powieść najpoczytniejsza jest ta, która daje opis albo samych tylko złoczyńców, albo też — w której złoczyństwo jest niezbędne dla dania pojęcia czytelnikom o dobrem. Dobra samego w sobie czytelnik, ten tłumny, dający powodzenie czytelnik, nie pojąłby; on pojmuje tylko dobro na tle zła, miłość jako podszewkę nienawiści; raj jako odwrotną stronę piekła.

Autorowie takich powieści, pełnych najprze-

różniejszych przejść demonicznych, tak zwanych z rosyjska „przeżyć“ — zaczęli masowo ginąć z głodu, jak te muchy, którym zabrakło odpadków i gnojów, i które nie mogą wytrzymać w powietrzu zupełnie czystem, bez żadnych złych wydarzeń.

Tak zwane „przeżycie“ może być tylko w złem. Coś przeżyć to znaczy po polsku to coś utracić, pozbyć się tego. Któżby zaś chciał się pozbywać dobra, czyli to dobro przeżyć. Przeżycie dobra znaczy dobra utratę. Przeżycie jest tylko w złem. Przeżyć dobrych niema. Jeżeli ktoś szczęście „przeżył“, to znaczy — już go niema. Zatem, ażeby szczęście mieć, należy go nie przeżywać. Szczęście prawdziwe jest nieprzeżyte — niepożyte, wieczne. W szczęściu prawdziwem żyje się, ale się go nie przeżywa, bo to szczęście nie ma granic. A wszystko to, co jest ograniczone, marne, złe — to należy do sfery przeżycia, do wydziału złoczyńców.

Romansopisarze i romansopisarki, noweliści przeżyć i nowelistki, czyli ta cała kategorja ludzi przeżytych, zaczęła ginąć, aż wyginęła doszczętnie.

Zaczęli ginąć również fabrykanci trucizn i różnych jadowitych preparatów i leków. Wskutek braku złych postępków, ludzie przestali chorować, a więc i potrzebować doktorów, aptekarzy, felczerów, sióstr miłosierdzia, pogotowi ratunkowych i

innych tym podobnych urządzeń, potrzebnych społeczeństwu, w którem panuje złodziejstwo i złoczyństwo.

Upadli też fabrykanci wszelkiego rodzaju oręża. Upadł niemiecki zakład Kruppa w Essen, a to pociągnęło za sobą ruinę bronio-czyńców i w innych krajach. A że bez broni niemożebne jest wojsko, tedy i ta klasa wojownicza stała się zbyteczna. Fach, polegający na umiejętności najdoskonalszego zabijania ludzi sobie podobnych, czyli sztuka homobójcza, przestała być szanowaną, podziwianą i nagradzaną nawet przez młodsze i kucharki, nie mówiąc już o damach z towarzystwa, łasych na szlify, na szablę i na ostrogi. Ta rewerencja została jeszcze wśród kur dla koguta.

Cały zastęp sił młodych, które się przeżywały, teraz został wrócony prawdziwemu życiu.

*

* *

I byłby się ten przewrót ostatecznie utrwalił zaraz, gdyby nie jedna jeszcze rzecz.

Gdyby nie reakcja klas tych umierających, które najbardziej miawszy do czynienia ze złem, poprostu wyzbyły się już były wszelkiej nadziei, że możebne jest życie samem dobrem.

„Ci więc wszyscy, jak sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, notarjusze, woźni sądowi, dozorcy więzień, szpitalnicy, doktorzy, aptekarze, dziennikarze, pisarze sensacyjnych romansów, wogóle ludzie, uznający t o z ł o za jakąś życiową konieczność, widząc, że to zło zanika, i że studnia ich dochodów może wyschnąć, postanowili wszelkiemi siłami to zło podeprzeć.

Zaczęli więc od tego, że wysłali deputację do swoich karmicieli-złoczyjców, prosząc ich o powrócenie do zajęć, czyli do pełnienia zła.

Ale złoczyńcy, jak jeden mąż, odpowiedzieli: nie.

— Wszakżeście — powiadają — chcieli, wy, ludzie prawi, abyśmy, ludzie nieprawi, poprawili się. Tak, czy nie?

— No, tak.

— A więc poprawiliśmy się stanowczo. Nie mamy nic wspólnego ze złem. Odczepcie się od nas. Czego wam jeszcze do szczęścia potrzeba?

— Waszych złych uczynków, waszych nieprawości.

— Nic z tego. — Strajk i basta.

Co tu robić ludziom dobrym?

Zaczęli, przywiedzeni do ostateczności, czynić zło sami.

Część sądowników zaczęła grać rolę złoczyń-

ców sama, dla dobra korporacji. Często widziano prokuratora, pełniącego tę samą zbrodnię, którą tak doskonale poznał, której się tak doskonale nauczył wówczas, kiedy to jeszcze na nią piorunował.

Część doktorów zaczęła być chorymi, również po to, aby ten gatunek, znany „pacjentem", nie zginął, — gatunek, który ich tak obficie, tak dostatnio żywił.

Część księży zaczęła uprawiać grzech, również po to, ażeby się rodzaj grzesznika nie wyplenił ze szczętem.

I tak we wszystkich tych klasach, które walczą ze złem w imię dobra, a raczej w imię dobrobytu.

Niesłychaną pomoc dali tym klasom w ich sztucznych aspiracjach kapitaliści.

Kapitalista za podstawę życia ma również to — zło, tylko z niewielką aliteracyjną przestawką, mianowicie zamiast to — zło powiada: zło — to, czyli złoto.

To zło miało już zginąć, gdy wtem kapitaliści ostatnim wysiłkiem swego sprytu giełdowego zrobili tę niecną konwersję i usiłowali, odwróciwszy kota ogonem, wprowadzić w życie znów to zło, zapewniając, że złoto jest w życiu walorem nieodzownym.

Bankierzy, giełdziarze, finansiści, lichwiarze,

procentowicze, meklerzy, stręczyciele, kupcy i w ogólności ludzie, operujący złotem, połączeni, jak się rzekło, z sądownikami, z księżmi, z adwokatami, z dziennikarzami, z pornografami, z autorami przeżyć i z innymi zła poplecznikami, długo jeszcze w nęcących, w kuszących barwach przedstawiali im powrót do zajęć... daremnie.

Złoczyńcy wytrwali pomimo wszystko w stanowczem wyrzeczeniu się zła. Zginęli dobroczyńcy.

Było to w roku dwuchtysiącznym dwuchsetnym dwudziestym i drugim po narodzeniu Chrystusa, ukrzyżowanego przez sędziów rzymskich, rabinów i uczonych doktorów talmudycznego prawa.

*

* *

Dziś daleki jeszcze ten czas, o którym może roić utopja. Dziś jeszcze złoczyńcy nie myślą strajkować. Owszem pracują w najlepsze. Dosyć przejść się po kryminałach, po sądach, po kancelarjach notarjalnych i adwokackich, po gabinetach doktorów, po różnych uzdrojowiskach cielesnych i dusznych, aby nabrać przekonania, że zła jeszcze długo nie zbraknie i że więc nie mamy się co trwożyć o zagrożony dobrobyt, my — ludzie dobrzy.

KONIEC.

SPIS RZECZY:

W „Książkach Ciekawych“ wydano dotychczas:

Żeromskiego Stefana — „W sidłach niedoli“.
Wierzbińskiego Macieja — „Siostra Felicja“.
Filochowskiego Wacława — „Amulet Ozirisa“.
France'a Anatola — „Święty Satyr“
(przekład Stefana Godlewskiego).
Wellsa, Lyttona, Kiplinga — „Niesamowite opowieści“. (przekład W. Horzycy).
Gobineau J. A. — „Gamber Ali“.
(przekład Hawk'a).
Ligockiego Edwarda — „Komandor Sidi Numan zu Stollberg“.
Grabowskiego Okszy Ignacego — „Granum Salis“.

W przygotowaniu.

Daniłowskiego Gustawa — „Nad Urwiskiem“.
Teffi — „Kobieta Demoniczna“.
(przekład Juljana Tuwima).
Iwaszkiewicza Jarosława — „Ucieczka do Bagdadu“.
Gogola Mikołaja — „Wij“
(przekład W. Popławskiego).
Perzyńskiego Włodzimierza — „Okazja“

Wydawca
Feliks Gadomski.

Redaktor
Stanisław Miłaszewski.

100,–

1421 III / 10

7910.85–

„KSIĄŻKI CIEKAWE"

WARSZAWA
SIENKIEWICZA 12.